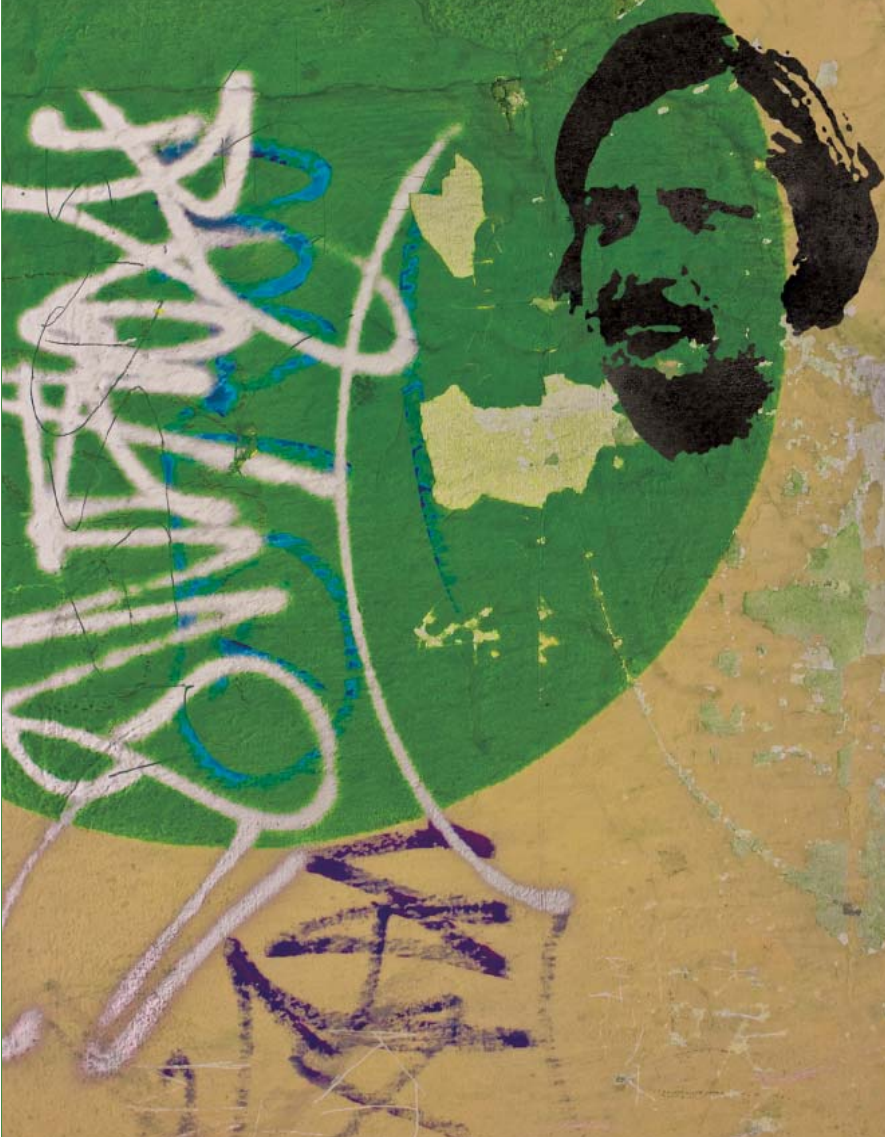


. . . archipelagi . . .

Jacek Dehnel  
Balzakiana





. . . w serii ukazały się . . .

---

- Lidia Amejko *Żywoty świętych osiedlowych*  
Dawid Bieńkowski *Nic*  
Dawid Bieńkowski *Biało-czerwony*  
Jacek Dehnel *Lala*  
Jacek Dehnel *Rynek w Smyrnie*  
Izabela Filipiak *Magiczne oko. Opowiadania zebrane*  
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*  
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*  
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*  
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*  
Manuela Gretkowska *Namiętnik*  
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*  
Mariusz Grzebalski *Człowiek, który biegnie przez las*  
Marek Kochan *Plac zabaw*  
Włodzimierz Kowalewski *Światło i lęk*  
Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*  
Wojciech Kuczok *Gnój*  
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*  
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*  
Wojciech Kuczok *Senność*  
Marian Marzyński *Sennik polsko-żydowski*  
Jarosław Maślanek *Haszyszopenki*  
Tomasz Piątek *Pałac Ostrogskich*  
Janusz Rudnicki *Mój Wehrmacht*  
Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy*  
Sławomir Shuty *Zwał*  
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*  
Sławomir Shuty *Ruchy*  
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*  
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*  
Mariusz Sieniewicz *Rebelia*  
Marek Soból *Mojry*  
Jerzy Sosnowski *Prąd zatokowy*  
Wojciech Stamm *Czarna Matka*  
Magdalena Tulli *W czerwieni*  
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*  
Magdalena Tulli *Tryby*  
Magdalena Tulli *Skaza*  
Witold Wedeck *Czarne rondo*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

---

Jacek Dehnel

---

Balzakiana

---

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008  
Wydanie I  
Warszawa 2008

# MIĘSO WĘDLINY UBIORY TKANINY



Tam, gdzie zaczyna się wolski odcinek alei Solidarności, niemal na skrzyżowaniu z Jana Pawła, stoi jeden z tych monolitycznych budynków, jakie budowano w Warszawie tuż po wojnie na gruzach dziewiętnastowiecznych kamienic: ciężki, flankowany z każdego końca płaskim ryzalitem, ozdobiony wreszcie – choć wątpliwa to ozdoba – masywnymi, niezgrabnymi pilastrami, które miały stwarzać wrażenie, że lud pracujący miast zamieszkał w pałacach, kiedyś dostępnych tylko krwiopijczym burżujom. Wprawdzie pokoje były małe, szerokie najdalej na dwa okna, ale i tak przecież wyższe i przestronniejsze niż gomułkowskie kłitki z ciemną kuchnią, które zaczęto budować kilkanaście lat później. Fasada, jak większość fasad socrealistycznych domów w centrum Warszawy, była jednolicie szarobura. Tylko szyldy sklepów na parterze i balkony wносиły trochę koloru w tę ponurą płaszczyznę, równomiernie podzieloną szeregiem okien. Kiedyś przez szczebelki balustrad przeplatano szerokie pasy zielonego, żółtego i szafirowego plastiku – od niedawna, jak wszędzie, balkony obwieszano wiosną skrzynkami petunii, begonii i aksamitek, które – ładne i niedrogie – wyparły dawne pojedyncze donicz-

ki z pelargoniami i trzykrotkami, wstawiane w plecione makramy albo w obręcze zdobne metaloplastycznie.

W deszczowy kwietniowy poranek, tuż przed piątą, jakiś chłopak w bojówkach i bluzie z kapturem schronił się pod markizą butiku Mariza po przeciwnej stronie jezdni i przyglądał się z entuzjazmem archeologa zapuszczonemu zabytkowi z czasów przewodniej roli, pochodów pierwszomajowych i tropienia zaplutyh kartów reakcji. Bo też każde piętro na inny sposób cieszyło oko miłośnika oldskulu: na trzecim dwa balkony zabito deskami, bo groziły oberwaniem, na drugim wystawiono całą kolekcję gratów, za które niejednen dałby się pokroić: pordzewiałą pralkę „Frانيا” z obitą emalią, wyglądającą spod plandeki szafkę pod telewizor, niegdyś na wysoki połysk, fragment meblościanki. Jeśli to stało na balkonie, to co właściciel trzymał w piwnicy? Pewnie całe pudła nabojów do syfonów, zastawę Społem, telewizor Rubin, adapter Bambino i inne cymeszy. Między środkowymi oknami pierwszego piętra umieszczono relief z robotnikami, podobny nieco do tych, które jakieś dziesięć lat temu skuto ze ścian burzonego kina Moskwa, albo do tych, które niedawno z wielką pieczołowitością odrestaurowano w pasażu schodów ruchomych przy Trasie W-Z. Przez szyby widać było obfite firany z maszynowej koronki, kryjące tajemnice mieszkania przed wzrokiem przechodniów.

Czasem chłopak w bojówkach, znużony wpatrywaniem się w okna na pierwszym piętrze, opuszczał wzrok i uśmiechał się na widok sklepowych wystaw – bo rzeczywiście było to zbiorowisko przedmiotów dość pociesznych. Szeroki szyld, ciągnący się przez całą szerokość

kość sklepu, malowano już tyle razy, że kolejne warstwy przezierały spod spodu jak ziemista cera polityka przeziera spod pudru i podkładu na wyborczym billboardzie. Po obu stronach długiego napisu jakiś pacykarz po Kur-sie Oprawy Plastycznej Wystaw Placówek Handlowych wymalował olejną dwa arcydzieła: z lewej tłustą, różo-wiutką świnie w białym fartuchu, ostrzącą na osetce rzeźnicki nóż, z prawej natomiast uśmiechniętą owcę, prezentującą klientom belę – wełnianego, można przy-puszczać – materiału. Kolejne przemalówki na szczęś-cie omijały postaci obu zwierząt; najwyraźniej właściciel doceniał ich znaczenie dla reklamy sklepu. Pośrodku, dużymi literami o kroju, którego przestano używać za rządów Mazowieckiego czy może nawet Rakowskiego, a który teraz powraca już tylko w wystroju modnych klu-bów, wypisano:

#### MIĘSO WĘDLINY UBIORY TKANINY

I z prawej mniejszymi literami:

Włodzimierz Ściepko, dawniej Anatol Dryja

Podobne szyldy spotyka się na dalekiej Pradze oraz w tych miejscowościach, do których nie dotarły jeszcze wielkoformatowe plotery, trzy tysiące czcionek z Wor-da i kolorowe folie samoprzylepne – gdzieś w Łukowie czy pod Jasłem można się jeszcze natknąć na radosne świńskie ryje, tańczące szpulki i nitki, trzymające się za ręce warzywa czy podskakujące owoce. Ponoć w Łomży do niedawna była jeszcze piekarnia, którą zdobił szeroki

fryz z antropomorficznych bułek: część wylegiwała się na leżakach, część śpiewała (co symbolizowały czarne nutki unoszące się nad ich głowami), jeszcze inne grały w tenisa. W występach brały udział również dwu- i trzygałkowe lody w waflu.

Chłopak spod butiku Mariza z pewnością nie po to stał na deszczu, żeby zachwycać się świnią z nożem i owcą z belą – wystarczył mu moment, żeby je zapamiętać, zresztą dla pewności pstryknął komórką dwie fotki (z literami MIĘ na pierwszej i NINY na drugiej) i z powrotem założył kaptur, który zdjął tylko na chwilę, żeby lepiej ocenić kadry. Zdjął go znowu, poprawił zaczesane na bok włosy. Sądząc po misternie rozczochranej fryzurze, musiał strzyc się u Czajki albo u kogoś, kto Czajkę podrabiał. Spod bluzy widać było brzeg obcisłej koszulki w offowe nadruki (kupionej w Rastrze na świątecznej wyprzedazy; podobno jeden z nadruków zaprojektował Sasnal). Wracał z pewnością z jakiejś imprezy – bojówki raczej z tych wieczorowych niż roboczych: czerwone obszycia wokół kieszeni, fikuśne patki. Do tego czerwone buty, markowe, ale nieco ubłocone. Widać, że szedł pospiesznie.

Mijały go kolejne nyski, wiozące towary do Hali Mirowskiej: spod plandek widać było skrzynki pomidorów i ogórków, zgrzewki piwa i wody mineralnej, worki ziemniaków i cebuli. Czasem mijał go jakiś nowy, leasingowany van z nadrukami „Osiński i Litwiniec, sprzedaż artykułów spożywczych”, „Bananex”, „A. i J. Chojnaccy hurt detal”, ale na alei Solidarności, tak zawsze ruchliwej, panował jeszcze względny spokój, którego magię zna tylko ten, kto choć raz przechadzał się o tej porze

po wyludnionej Warszawie: jazgot tramwajów, warkot silników, cały miejski harmider, przygasłe, powoli się odradzają i narastają jak daleki szum morza w czasie przyływu.

Pod bramą prowadzącą na podwórze przeciwległego domu zatrzymał się spory samochód dostawczy z napisem: UBIORY TKANINY Włodzimierz Ściepko, ze środka wysiadł krótko ostrzyżony facet, odwrócił się, popatrzył na drugą stronę ulicy, odwrócił się z powrotem, pochylił, otworzył kłódkę, podniósł szlaban i wjechał. Za minutę wyszedł z bramy, znowu popatrzył w stronę butiku Mari-za i cofnął się, żeby wyładować towar.

Tymczasem od centrum szło dwóch blondynów w taliowanych, britpopowych płaszczach – tak blisko siebie, że z pewnością wracali z Utopii albo, okrężną drogą, z Tomba Tomby; pewnie wszystko wydali na drinki i teraz musieli oszczędzić na taksówce pod jeden z tych ogromnych bloków, które ciągną się już od placu Za Żelazną Bramą, gdzie w gierkowskich mieszkaniach żyją całe tysiące studentów, przemieszanych z Wietnamczykami i sprzątaczkami z Ukrainy; jeden z nich odwrócił się i popatrzył na stojącego na ulicy chłopaka uważnie. Bo i było na co popatrzeć: wielkie czarne oczy pod mocno zarysowanymi, niemal zrośniętymi brwiami, wystające kości policzkowe i zapadnięte policzki, jak u porządnego modela, a do tego jeszcze pełne usta, ale żadne tam poduchy, tylko wargi wykrojone tak wyraźnie, jakby ktoś obrysował je ciemną kredką.

– Hej, marynarzu! – krzyknął śmielszy z blondynów, ale drugi, widać mniej śmiały albo trzeźwiejszy, złapał go za ramię i pociągnął w kierunku ulicy Jana Pawła II.

Facet z firmy W. Ściepko po raz kolejny pojawił się w bramie, przebiegł na drugą stronę przez prawie pustą jezdnię i tory tramwajowe, i zatrzymał się dopiero pod butikiem Mariza.

– Szukasz czegoś, gówniarzu?

– Nie, ja tak tutaj. Do kumpla.

– Do kumpla, do kumpla – prychnął śliną – a kumpel od tych z łomem? Szef dba o kasę i zna odpowiednich ludzi, żeby ją odzyskać, i takie zenki jak ty niech lepiej mu nie podskakują.

– Spokojnie, spokojnie, ja do kumpla, na trzecim mieszka.

– Spokojnie jak na wojnie – powiedział pracownik Ściepko Włodzimierza, odwrócił się i pobiegł przez coraz mniej pustą jezdnię.

Po chwili coś nagle huknęło, jakby na chodniku wybuchł mały granat, tak że chłopak spod butiku podskoczył i krzyknął. W bramie po drugiej stronie pokazało się dwóch rechocących kumpli tamtego. I tamten we własnej osobie, który zdążył już przebiec przez jezdnię i tory i groził mu palcem, jakby chciał powiedzieć „Teraz są petardy, ale będzie ostrzej, synuś”.

Wreszcie na pierwszym piętrze, w oknie koło reliefu z hutnikiem, firany się rozsunęły i ktoś machnął ręką. Chłopak podbiegł do światel (zaczęły już kursować tramwaje i patrole straży miejskiej, a wiadomo, każde przejście na szagę to co najmniej pięćdziesiąt złotych), przeszedł na drugą stronę – i wtedy na balkonie ukazała się dziewczyna w różowym szlafroczku, podlewająca petunie i begonie. Było w niej coś ujmującego: włosy ani na falkę, ani tlenione, ani czarne, w uszach żadnych wiel-

kich srebrnych kół, żaden tam „plasticzek”, po prostu miła, ładna dziewczyna, o której się myśli: „może i było jej trudno w liceum, ale zaoczne zarządzanie i marketing w Pułtuskusku jakoś skończy”. I przez krótką chwilę patrzyli na siebie: ona nad petuniami, on pod szyldem MIĘSO WĘDLINY. Potem odwrócił się na pięcie i skręcił w Jana Pawła.

Nie mógł więc zaobserwować, jak za drzwiami sklepu UBIORY TKANINY pojawił się niziutki staruszek, zapewne rówieśnik szyldu z owcą i świnią, wyciągnął wiekowy kartonik z wykaligrafowanym pismem technicznym napisem „Przyjęcie towaru”, zawiesił go zamiast obrotowej tabliczki ZAMKNIĘTE/OTWARTE W GODZ. i poczłapał w głąb wnętrza. Nie każdy przechodeń z wystroju witryn odgadłby asortyment sklepu Ściepko Włodzimierza: za pomalowanymi na żółto kratami widać było kilka kwiatów z krepiny i przepiękne z lakierowanych listewek, oddzielające wystawę od sklepu, a dopiero gdzieś w cieniu półek dały się rozróżnić bele materiału. A jednak, mimo tej prostoty, godnej braków towarowych z epoki stanu wojennego, sklep Włodzimierza Ściepko był najlepiej zaopatrzonym sklepem w branży, jeszcze od zamierzchłych czasów, kiedy branżę tę nazywano niekiedy „bławatną”, a rządy sprawował stary Dryja. Pan Włodzimierz utrzymywał najlepsze stosunki i z konkurencją, i z władzą, i z ochroniarzami. Jeśli któryś z jego kolegów podpisywał kontrakt na dużą dostawę partyjną czy rządową i nie miał na składzie odpowiedniej ilości moro, zielonego sukna na pokrycie stołów prezydyalnych albo czerwonego stylonu na flagi ZSRR, pan Włodzimierz zawsze mógł

je dostarczyć w tempie ekspresowym, bez względu na wymaganą ilość – oczywiście, za stosowną cenę. Przed nikim nie musiał się płaszczyć, nikomu nie musiał zostawiać na parapecie wdzięczności, wystarczało, że miał opinię kupca, który zawsze może pomóc. A jeśli któryś z dostawców albo klientów miał problemy z płynnością finansową, pan Włodzimierz wysyłał do niego z wizytą swojego „ugodowego przyjaciela”, Andrzeja Cholewę, niegdyś oficera SB, od czasu przemian właściciela firmy windykacyjnej „Securo”, który miał niezawodne sposoby na odzyskiwanie należności.

Ledwie w głębi sklepu zniknął staruszek (pracował u Dryi i Ściepki tak długo, że pamiętał jeszcze, jak sprzedawał jedwab na suknie sylwestrowe Ochabowej, i teraz, na emeryturze, przychodził czasem z nudów popracować, a częściej pomarudzić), a już w drzwiach pojawił się sam właściciel. Odkąd w połowie lat siedemdziesiątych, dzięki, rzecz jasna, protekcji, wykupił dwa mieszkania na pierwszym piętrze i przeprowadził się z rodziną z Powiśla, do pracy miał tyle, co zejść po schodach. Rozejrzał się po ulicy i okolicznych sklepach, a potem popatrzył w niebo, zastanawiając się nad pogodą, zupełnie jakby właśnie wysiadł z samolotu na Okęciu. Z zadowoleniem stwierdził, że w czasie jego snu nic się nie zmieniło, i zaczął czyścić paznokcie wyjętą z kieszeni wykałaczką. Miał na sobie jeden z tych przedpotopowych garniturów z wąskimi kłapami, jakie widuje się czasami u ubogich stryjów na wiejskich pogrzebach, uszyty z granatowej wełny, w najbardziej nijakim z możliwych odcieni, poszarzałym jeszcze przez wiele lat ofiarnej służby. Rękawy były nieco wyświecone na łokciach i przecierały się

przy mankietach, z guzików łuszczył się nikiel. Włosy pan Włodzimierz miał siwe, na żółtawej czaszce ulizane i wyczesane tak dokładnie, że przypominały pole całe w równiutkich skibach, jakby ktoś zorał mu głowę miniaturowym traktorkiem z kinderniespodzianki. Oczka zielone, niby wywiercone świderkiem, łypały pod różowawymi plamami, które zastępowały mu brwi. Lata zmagają na rynku materiałów odzieżowych odkładały mu się w wątrobie i w zmarszczkach, ale po tej bladej twarzy znać było nie tylko troski, ale i cierpliwość, kupiecki spryt i pewien rodzaj zachłanności, nieodzownej w interesach.

Teraz, kiedy każdy szewc wysyła syna na informatykę, a córkę na marketing, kiedy syn rzeźnika studiuje na Cambridge, a córka właściciela lombardu robi dyplom na ASP, tworząc instalację z porwanych złotych łańcuszków i potłuczonych zegarków, czym „dokonuje aktu symbolicznego ojcobójstwa”, prawie nie ma starych kupieckich rodów, które przekazywały z ojca na syna nie tylko zawód i sklep, ale również obyczaje i strój właściwe profesji, przez co nawet młodzi kupcy wyglądali jak wskrzeszone brontozaury, a przynajmniej – kierownicy GS-u. Włodzimierz Ściepko należał do znakomitych strażników handlowych obyczajów: potrafił wymienić wszystkich kierowników departamentów w Ministerstwie Gospodarki od czasów Hilarego Minca, a za każdym razem, kiedy słyszał „VAT”, rzucał nieodmiennie: „Kiedyś, panie, tego nie było”. Tego dnia jak zwykle pojawił się w sklepie pierwszy, żeby odebrać dostawę, i czekał na pracowników, żeby obrugać ich, gdyby spóźnili się choćby trzydzieści sekund. A oni niczego tak się nie bali jak

milczącej energii, z jaką ich szef w każdy poniedziałek badał ich twarze i ruchy, szukając śladów weekendowych imprez. Ale teraz nie skupiał się w ogóle na punktualności swoich ekspedientów – tymczasem bowiem chłopak w bojówkach wyszedł zza rogu ulicy Jana Pawła, przebiegł po pasach na drugą stronę (akurat było zielone), i stanął tam gdzie wcześniej, pod markizą butiku Mari-za. I znów obserwował fasadę domu przy Solidarności, a malutkiego patriarchę handlu odzieżowego obrzucił takim wzrokiem, jakim właściciel Ipoda oglądałby po raz pierwszy w życiu gramofon na korbkę. Deszcz minął, kwietniowe słońce oświetliło całą pierzeję domów, przebijając się nawet przez listewki odgradzające witry-nę sklepu od wnętrza i wydobywając z cienia posępne bele wełny i elanobawełny, a nieco dalej – zamkniętą na kłódkę szafę, w której leżały olbrzymie księgi, nie-me wyrocznie firmy Ściepków. Ale tam słońce prawie nie docierało, o wiele obficiej kładło się na farbach oblażą-cych z szyldu, rzucało na fasadę skośne cienie balkonów, wydobywało muskuły hutnika i górnika, połyskiwało na plandece i bębnie starej „Frani”. Ale na takie zjawiska pan Włodzimierz nigdy nie zwracał uwagi – zdawało mu się natomiast, że chłopak zapisuje w pamięci cały układ wnętrza, a kiedy zrobił komórką kolejne dwie czy trzy fotki, właściciel sklepu, który pamiętał jeszcze czasy do-miarów, uznał, że ten typek chce się mu dobrać do kasy, czy to jako włamywacz, czy jako przebrany urzędnik skarbowki, czy wreszcie jako specjalista od wymuszania haraczów.

W tym momencie najstarszy (jeśli nie liczyć eme-ryta) pracownik pana Włodzimierza stanął obok szefa

i widząc, że chłopak zerka na pierwsze piętro, podszedł dwa kroki naprzód i zadarł głowę do góry; zdawało mu się, że Aśka Ściepko właśnie skończyła podlewać kwiaty na balkonie i weszła do środka.

– Się prosi – mruknął, wskazując podbródkiem butik Mariza.

Szef zerknął z byka, ale w tym właśnie momencie chłopak po drugiej stronie ulicy zatrzymał taksówkę wracającą z jakiegoś porannego kursu i pojechał w stronę centrum. Uspokoiło to i pracodawcę, żyjącego w ciągłym strachu przed włamaniem, i beznadziejnie zakochanego w Ściepkównie pracownika, i dwóch pozostałych, którzy, mniej odważni niż najstarszy, bali się, że kiedyś spotkają oko w oko chłopaka, któremu rzucili pod nogi petardę. A pojedynczo każdy z nich był od niego mniejszy.

– No, łapserdaki, do roboty – syknął pan Włodzimierz do swoich pomagierów – ja, kurde balans, jak terminowałem u ojca, to do ósmej pięć przyjąłem już cały towar i robiłem kawkę szefowi.

– Takie tam przyjęcia wtedy. Dwie bele, bo braki towarowe – mruknął ten, do którego obowiązków należało robienie kawy.

Stary uśmiechnął się mimowolnie, choć wołałby utrzymać ponurą minę. Trzymał ich krótko, bez żadnego poszanowania dla kodeksu pracy, przepisów BHP i ustaleń związków zawodowych; wprowadzie dwaj z nich zarzekali się, że lada chwila wyjadą do Londynu, zrobią tam wielkie pieniądze i po powrocie kupią całą sieć sklepów, ale na razie nie mieli ani grosza i Ściepko orał nimi jak wołami. Postawił sobie za punkt honoru, że robi prawdziwych sprzedawców z balangujących obiboków,

którzy nie mogli skończyć nawet wieczorowego technikum, bo pijani i zaćpani, szlajali się całymi nocami po klubach, a całymi dniami odsypiali. Aż ich starzy z domu wywalili. Teraz z tym trzecim musieli robić tyle, co w innym sklepie robi dziesięciu, a dzięki eksesbekowi Cholewie pan Włodzimierz miał na nich takie haki, że woleli mu nie podskakiwać.

Wszystko w sklepie – i w mieszkaniu piętro wyżej, gdzie pracownicy, dla oszczędności, musieli codziennie jadać obiady, co potrącano im z pensji – świadczyło o szacownym porządku, schludności i czystości. Żadnego skrawka materiału nie wyrzucano; jeśli nie poszedł w resztkach na przecenie, był starannie obrębiany i służył jako szmatka tak długo, aż się zupełnie przetarł. Każdy, najskromniejszy nawet mebel, choćby kuchenny taboret, był codziennie pucowany do czysta, garnki stały na półkach w idealnym porządku, od największego do najmniejszego. Nic się nie marnowało: resztki mydła były zbierane do plastikowej siateczki i zawieszane na haczyku nad zlewem, gdzie służyły do mycia rąk po zmywaniu talerzy. Najdowcipniejszy z chłopaków znalazł kiedyś na chodniku kawał drutu, przyniósł go do sklepu i z grobowo poważną miną poprosił o cążki.

– Skąd ja ci, cholera, wezmę cążki? Po co ci, cholera, cążki?

– Potnę na kawałki i zrobię spinacze. Osiem groszy oszczędności.

Z tego żartu i paru podobnych śmiała się młodsza Ściepkówna, ta ładna dziewczyna w różowym szlafrocuku, która podlewała petunie. Kiedy pani Ściepko podawała kiszzone ogórki, wszyscy patrzyli ze zdumie-

niem, na jak cienkie plasterki pokroiła każdy ogórek i jak skąpo je wydzielala; zupełnie jakby każdy z nich był okolicznościową dwustuzłotową monetą z Janem Pawłem II Wielkim, Papieżem Polakiem, wybitą przez NBP z okazji dwudziestolecia pontyfikatu. Jeśli pracownicy postanowili spędzić noc poza domem, musieli na wiele dni naprzód usprawiedliwić ten wybryk, przytaczając racjonalne powody, do których „wyhaczenie foczki” ani „zajefajna impreza” z pewnością nie należały; gdyby wymknęli się po kryjomu z wynajmowanego od pracodawcy mieszkania, rano mogliby już nie wracać do roboty, bo Ściepko miał swoje sposoby na blokową inwigilację. Mieli zajętą nawet niedzielę, bo wtedy wszyscy pracownicy uczęszczali z państwem Ściepko na mszę w kościele św. Karola Boromeusza na Chłodnej. Asia i jej siostra, Weronika, latem ubrane w ciemne spódniczki i białe bluzki, zimą w prostych płaszczykach, szły z chłopakami przodem, niby to swobodnie, pod przenikliwym okiem matki, która zamykała ten skromny orszak rodzinny wespół z prawowitym swym małżonkiem, Włodzimierzem, którego stopniowo przyuczyła, żeby dzień święty święcił. Młodszy pracownicy dostawali maleńkie pensyjki, bo część potrącano im na poczet czynszu za wynajmowaną od szefa klitkę i rodzinnych obiadów; płacono im zusy i niewiele więcej. Najstarszy, dzięki sześciu latom wytrwałości i lojalności wtajemniczony w sekrety firmy, dostawał na rękę dziewięćset pięćdziesiąt złotych. Czasem, z okazji jakiegoś rodzinnego święta, trafiał mu się w charakterze bonusu prezencik, któremu wartość nadawała jedynie sucha i pomarszczona dłoń pani Ściepko: portfel z nadrukiem Reader's Digest (dodawano je do

jakiejś książki pod koniec lat dziewięćdziesiątych), bardzo porządny pasek albo kilka par grubych wełnianych skarpet. Niekiedy, ale bardzo rzadko, dopuszczano tego „pierwszego po Bogu” (czyli panu Włodzimierzowi) do rozrywek rodzinnych, kiedy Ściepkowie wybierali się do znajomych mieszkających na obrzeżach stolicy albo szli do jakiegoś zapyziałego kina na film, którego już nigdzie indziej w Warszawie nie dało się zobaczyć; no, chyba że na DVD, ale takie luksusy w tym domu były nie do pomyslenia: główny firmowy komputer radził sobie pamięciowo z obsługą Excela i przestarzałego Worda, a szczytem nowoczesności w jego wyposażeniu dodatkowym była myszka. Jeśli chodzi o dwóch pozostałych pracowników, Ściepko wyobrażał sobie sklep na wzór sklepu swego teścia, Anatola, a może nawet ojca tamtego (który miał w Drohobyczu kram bławatny, wniesiony w posagu przez drugą żonę, podstarzałą wdowę po poprzednim właścicielu, Sarę Grynbaum): *Bariera szacunku między uczniami a mistrzem-sukiennikiem wznosiła się tak niezachwianie, że raczej skradliby postaw sukna, niż uchybili tej dostojnej etykietce*. Tak przynajmniej wspominał Anatol Dryja i cytował za swoim ojcem stare regulaminy, używając dawno wypartych słów, takich jak „obyczajność” czy „młodzieniec”. *Pani domu dbała o bieliznę młodzieńca, reperowała ją, a czasem i uzupełniała. Jeśli subiekt zaniemógł, otaczała go isticie macierzyńską opieką. Jeśli choroba okazała się poważna, pryncypał nie żałował grosza, wzywając najświetniejszych doktorów, odpowiadał bowiem przed rodziną młodzieńca nie tylko za jego naukę i obyczaje. Jeśli nawet młodzieniec taki, zacny do gruntu, zbankrutował, kupiec starej daty umiał docenić inteligencję, jaką był w im rozwinął – zapisał w zeszy-*

ciku zatytułowanym *Kilka słów do potomnych* teść Ściepko – i nie wahał się powierzyć szczęścia swojej córki człowiekowi, któremu przez długi czas zawierał swoją fortunę. W kwestii dyscyplinowania „młodzieńców” Włodzimierz Ściepko miał do dyspozycji wyłącznie kwity zebrane przez eksmajora Cholewę oraz, w przypadkach skrajnych, wywalenie na zbitą mordę (w najskrajniejszych: z rękami i nogami połamanymi przez podwładnych Cholewy z firmy „Securo”) – a mimo to ubzdurał sobie, że swą córkę Weronikę wyda za Sebastiana Krupę, chłopaka z domu dziecka, swoją prawą rękę w firmie UBIORY TKANINY Włodzimierz Ściepko. Ale Seba, zupełnie jakby się naczytał Szekspira, którego jednak z całą pewnością się nie naczytał, kochał się dramatycznie w Aśce, młodszej siostrze Weroniki. Aby jednak wytłumaczyć okoliczności tego uczucia, musimy poznać głębiej tajniki rządów absolutnych panujących w tej firmie i w tym domu.

Ściepko Włodzimierz miał dwie córki. Starsza, Weronika, była wykapaną matką. Żona pana Włodzimierza, Teresa, córka Anatola Dryi i wnuczka Wawrzyńca Dryi, kupca bławatnego z dyplomem drohobyckiego cechu (jeszcze z c.k. pieczęciami), trzymała się za ladą, jakby ją przyspawano do jakiegoś stelażu. Nie raz i nie dwa wyłapała spomiędzy głosów klientek wierszyk: *Z przodu deska, z tyłu deska, a na imię ma Tereska. Z twarzy, długiej i chudej, przebijała zawiść, lekko tylko łagodzona świątobliwą miną. Brzydka była i opryskliwa; dobiegała sześćdziesiątki, ale, ubrana zawsze w szarobure swetry i spódnice, zaniedbana, źle uczesana, wyglądała na dobrze zachowaną siedemdziesiątkę. Sąsiadki nazywały ją po cichu „siostrą Teresą”. Mówiła półgębkiem, gesty jej*

miały w sobie coś urywanego, jakby światło stroboskopu pokazywało ją w kolejnych stadiach ruchu, bez stadiów pośrednich. W oczach, żółtawych jak u niektórych kotów, widać było pretensję do całego świata, że jest brzydka. Weronika, wychowywana według despotycznych zasad matki, obchodziła właśnie dwudzieste ósme urodziny; młodość łagodziła jej szpetotę, która ujawniała się tylko czasem, w przebłyskach podobieństwa do starej, ale twarda szkoła odebrana od Teresy Ściepko wyposażyła Weronikę w dwie ogromne zalety: posłuszeństwo i cierpliwość. Aśka, chodząca do klasy maturalnej, w niczym nie przypominała rodziców; ktoś powiedział o niej, że „takie dziecko z pewnością przyniósł bocian”. Była niska, nie, inaczej, była drobna i pełna wdzięku... jeśli oczywiście komuś nie przeszkadzałoby jej pewne – hm, przykre słowo, ale chyba prawdziwe – prostactwo. Nie, inaczej: brak obycia. Mówiła mało i rzadko; jej twarz miała w sobie specyficzną nieruchomość, typową dla córek zdominowanych przez władcze matki. Obie siostry, ubrane skromnie w bezstylowe ciuchy, od zawsze kupowane na bazarze Różyckiego, od zawsze na tym samym stoisku pani Wandy, brak modnych ubrań mogły kompensować tylko schludnością („schludność” – kolejny wyraz ze słownika starego Anatola Dryi), która sprawiała, że wtapiały się w otoczenie: lśniący lada, codziennie przecierane ściereczką półki z belami, linoleum, lakierowane szczebelki oddzielające wystawę od wnętrza. Łatwo sobie wyobrazić, czego je uczono. Starsza poszła do technikum handlowego, młodsza już do liceum, bo czasy się nieco zmieniły i liczono, że zda na marketing i zarządzanie; wychowywano je dla han-

dlu: kładziono nacisk na oceny z matematyki i w ogóle z przedmiotów ścisłych, a więc smutnych. Liznęły trochę polskiego i historii, czytały lektury szkolne (Weronika dostała na maturze: *Obraz handlu w „Lalce” Bolesława Prusa* i wszyscy mówili, że stary Ściepko podpłacił komisję, co akurat w tym przypadku nie było prawdą), czasem pożyczyły od koleżanek „Bravo Girl” albo „Glamour”. W telewizji oglądały tylko to, co oglądać pozwoliła im matka, z internetu mogły korzystać wyłącznie w szkole na informatyce i u ciotki Włosowej. Rozwinęły się zatem specyficznie: nie były może szczególnie błyskotliwe, ale nadawały się z pewnością na tak zwaną „dobrą żonę”, co to i wypierze, i koszule wyprasuje, i ugotuje barszczu, i gołąbki zrobi, i wie, ile co ma kosztować, i sukienkę podszyje jak trzeba, i kostium dziecku na bal przebierańców przyszykuje. Ojciec był zamożny (nigdy nie przyszłoby im do głowy powiedzieć, że to rodzice są zamożni, matka była tylko dostawką gospodarczą), ale obie umiały szyć i cerować; matka systematycznie uczyła je gotowania, i to nie jakichś śródziemnomorskich „frykasów”, w rodzaju penne alla carbonara czy spaghetti bolognese, ale solidnych dań: schaboszczaków, łazanek, kopytek, gulaszu. Rozliczane z każdej godziny spędzonej poza domem, z każdego kwadransa spóźnienia po zakończonych lekcjach, z każdego numeru „Bravo Girl” czy „Cosmopolitan” wyciągniętego z plecaka podczas jednej z wielu rewizji, zatraciły wszelkie odruchy młodzieńczego buntu; ich życie było kopiaż życia rodziców, toczącego się wokół ich sklepu i kilku najbliższych sklepików, wśród plotek przynoszonych przez stałe klientki.